

# Godot i dwóch takich, co ukradli księżyc

„Czekając na Godota” Michała Borczucha to spektakl autotematyczny. Przedmiotem refleksji jest proces lektury tekstu Becketta jako kanonicznego dzieła i tworzenie spektaklu skrępowanego rygorami adaptacyjnej poprawności.

**IZABELLA ADAMCZEWSKA**

4. Międzynarodowy Festiwal Klasyki Światowej „Nowa Klasyka Europy” otworzyła premiera gospodarza. Michał Borczuch musiał się zmierzyć z radykalną ochroną praw autorskich Samuela Becketta - zgodności scenicznych adaptacji z literaturą tekstu bezkompromisowo strzeże Towarzystwo Beckettowskie. Bez jego zgody nie można ingerować w dialogi, a nawet zmieniać didaskaliów, o manipulowaniu płcią postaci czy wprowadzaniu efektów specjalnych nie wspominając. Żył sobie tego autor. Borczuch postanowił rozprawić się z tym - jego zdaniem - aktem cenzury prewencyjnej. Paradoksalność ingerowania w kształt spektaklu podkreślił, odwołując się do historycznych przypadków puryfikacji dramatu, którym dziwił się sam autor. O tym, że zalecano kastrowanie „Czekając na Godota” m.in. z powodów obyczajowych, festiwalowa publiczność

MALGORZATA KUJAWKA / AGENCJA GAZETA



„Czekając na Godota” w reżyserii Michała Borczucha

dowiedziała się z poprzedzającego spektakl nagrania.

Oczywiście wyrażanie sprzeciwu wobec narzucania puryzmu adaptacyjnego nie jest gestem oryginalnym (15 lat temu zaproteutował Richard Schechner, któremu zabroniono wystawienia „Czekając na Godota”, bo m.in. z Didiego i Gogo zrobił gejów), ale akt nieposłuszeństwa - bo tak można odczytać działanie Borczucha

- idealnie wpisuje się w temat przewodni festiwalowych spektakli. Kurator Roman Pawłowski spiął przeciw program motywu „mechanizmów władzy i podległości”.

Protest Borczucha wyrażony został metaforą muzeum, tematyzowaniem aktu lektury i chwytem repetycji. Sufler podaje tekst przez megafon, postaci ćwiczą go na scenie, waga słowa podkreślona zostaje zasto-

sowaniem mikroportów (niekiedy ma się wręcz wrażenie, że ruchy warg dopasowywane są do głosu z taśmy), często powtarzana jest fraza „nic się nie da zrobić”. Zapętlenie tekstu podkreśla wymuszoną powtarzalność inscenizacji tekstu Becketta. Borczuch zdecydował się na wykorzystanie w spektaklu fragmentu nagrania, które aktorzy oglądają, naśladując. Skamieniałość (awangardy!) una-

oczniają zawieszono na sztankietach eksponaty, zakonserwowane jak kielbasy dzieła sztuki - płasający tancerze Matisse’a, ekspresyjna postać z „Guerniki” Picassa, czarny kwadrat na białym tle Malewicza.

Mariusz Jakus, Marek Nędza, Paweł Paczesny, Andrzej Wichrowski i Krzysztof Zarzecki dostosowali się do konwencji. Swoją obecność na scenie zaznaczył zwłaszcza Wichrowski, jako - ironicznie tak nazwany - Lucky.

Reżyser nie poprzestął na wykpieniu strażników artystycznego testamentu. Wpadł na pomysł, jak dowcipnie zaktualizować tekst, wpisując go w bieżący kontekst społeczno-polityczny. Kluczem w tym przedapokaliptycznym jednak świecie (groza tego, co może jeszcze nastąpić, wisi w powietrzu) stała się postać posłańca, przynoszącego wieści od tajemniczego Godota. Borczuch zdecydował się na aluzyjną multiplikację - w spektaklu wysłanników jest dwóch, w dodatku niebezpiecznie przypominają Jacka i Placka z filmu „O dwóch takich, co ukradli księżyc”. Sobowtóry młodych Kaczyńskich, Grzegorz i Piotr Łęźniakowie, wnoszą zresztą napis „Moon” na scenę - Beckett laskawie zostawił Borczuchowi słowo „księżyc” w tekście dramatu. Na odpowiednie tory naprowadza widza nawet charakterystyczna wierzba płacząca, z tak giętkimi gałęziami, że nawet nie można się na nich powiesić. Na jakiego Godota czekamy w Polsce? ●